

Egzystencja zamiast gry

Zainteresowały mnie ostatnio polityczne kłopoty lidera hiszpańskich konserwatystów i niedawnego kandydata na premiera Alberta Núñeza Feijóo. Przyznać trzeba, że kłopoty te są dość pokrętnej natury.

Jak wiadomo, hiszpańska Partia Ludowa pod wodzą jego poprzednika – premiera Mariana Rajoya, była inicjatorką i sprawczynią potężnej fali represji, jaka spadła na Katalonię, po tym jak w 2017 roku rząd tego autonomicznego kraju zainicjował referendum niepodległościowe. Do Barcelony zwieziono wtedy nocą przez morze oddziały szturmowe wojsk wewnętrznych, które wypuszczone o świcie na miasto demolowały lokale wyborcze, rozbijały urny, biły pałkami ludzi w kolejkach do głosowania. Aresztowano członków rządu katalońskiego i liderów parlamentu, a powiązani z prawicą sędziowie skazywali ich w pokazowych procesach na długoletnie więzienie, pod sfabrykowanymi zarzutami malwersacji i terroryzmu.

Skomplikowany problem statusu Katalonii – to jedna rzecz, którą tutaj chcę zostawić na boku. Rzecz druga – to polityczna oczywistość, iż represje o tej skali oraz więźniowie polityczni – to w demokracji duży państwowy kłopot, który tak czy owak, wymaga jakiegoś rozwiązania. Pojawiło się ono dopiero w roku 2023, gdy dla utrzymania władzy lewicowy premier Pedro Sanchez potrzebował głosów posłów katalońskich, więc ogłosił amnestię i proces pojednania. To wywołało wściekły sprzeciw ludu hiszpańskiego (a przynajmniej jego prawicowej

części) i w konsekwencji przeciągający się kryzys polityczny. Konserwatyści stanęli na czele tego sprzeciwu, oskarżając Sancheza o zdradę stanu. Ale Feijoo musiał zdawać sobie sprawę, że co innego wściekłość prawicowego ludu, a co innego interes państwa, zaś oddanie pełnej inicjatywy lewicy co do przyszłości Katalonii byłoby polityczną głupotą. W warunkach bipolarnego podziału społeczeństwa także prawica może przecież kiedyś potrzebować współpracy z Katalończykami. A co istotniejsze, trzymanie w więzieniach albo na wygnaniu przeciwników politycznych upodabnia Hiszpanię raczej do sąsiadów z drugiej strony Gibraltaru, niżli zza Pirenejów.

No i teraz właśnie wyszło na jaw, że w lipcu ubiegłego roku roztropny Feijoo przeprowadził tajne rozmowy z wygnanym przywódcą Katalonii Carlesem Puigdemontem, ściganym przez hiszpański wymiar sprawiedliwości za popełnienie wszelakich najcięższych zbrodni. Złożył wtedy Katalończykom jakieś bliżej nieznanne polityczne oferty, ale do porozumienia obu stron nie doszło. Teraz Feijoo przyznał publicznie, iż podobnie jak socjalista Sanchez, on również opowiada się za ułaskawieniem przywódców katalońskich oraz szukaniem politycznego modus vivendi, w oczywistym interesie państwa hiszpańskiego. „Wstrząs”, „szok”, „oszołomienie” – to tytuły w mediach hiszpańskich, mające odzwierciedlać namiętności prawicowego ludu i działaczy partyjnych, którym przez ostatnie pół roku kazano wierzyć, iż amnestia dla Katalonii to zdrada stanu i zbrodnia przeciw ojczyźnie.

Trudno teraz powiedzieć, czy Feijoo uda się w ogóle utrzymać partyjną gawiedź pod kontrolą. Ale też nie sposób się temu dziwić. W rozumieniu ludu wróg polityczny jest wrogiem prawdziwym, a nie tylko jakimś „umownym”, czy „konwencjonalnym”, skonstruowanym na użytek prowadzonej gry. Z natury rzeczy wróg wspólnoty musi więc być

moralnie zły i estetycznie obrzydliwy, pod każdym względem zdeprawowany i dyszący żądzą zniszczenia ojczyzny. Dlatego lud pragnie, aby wroga wspólnoty wyeliminować: zabić, uciszyć, ewentualnie osadzić w więzieniu, i to takim, by nie mógł dalej szkodzić i nie był w stanie się zeń wydostać. Skoro liderzy prawicy tysiące razy powiedzieli Hiszpanom, że przywódcy Katalonii są zdrajcami i zbrodniarzami; skoro w potwierdzenie tej „prawdy” wciągnięto sądy, z ich pisanymi niezrozumiałym językiem wyrokami; skoro o zdradę oskarżono także lewicowego premiera dążącego do amnestii – no to czegoż innego miałby się domagać lud?! A tu teraz okazuje się, że dla przywódcy prawicy wszystko to było w gruncie rzeczy jakąś grą!

Kiedy prawdziwa polityczność wraca na scenę życia publicznego, wdziera się na nią nieuchronnie także lud ze swoimi zbiorowymi namiętnościami i egzystencjalnym rozumieniem politycznego konfliktu. Ba... można nawet bez obawy o przesadę powiedzieć, że owo wtargnięcie ludu stanowi samą istotę powrotu polityczności. Tak, mają rację liczni krytycy liberalnego parlamentaryzmu, na modłę XIX-wiecznej Anglii, albo Polski lat 90 ubiegłego stulecia, zapatrzonej naoczas w anglosaską tradycję polityczną, iż w przeciwieństwie do prawdziwej, egzystencjalnie rozumianej polityki, jest on w gruncie rzeczy swoistą zabawą elit, z licznymi wadami takiej „zabawy”. Wadą podstawową, o której rozpisywali się z upodobaniem przez lata polscy ideolodzy prawicy, jest stan swoistej przedpolitycznej bezalternatywności kierunku, w jakim podąża wspólnota, nieznośny dla tych, którzy spragnieni są politycznych alternatyw, prawdziwego zróżnicowania, prawa wyboru, a więc w gruncie rzeczy politycznej wolności wobec bezalternatywnego dyktatu elit. To właśnie w takich spragnionych wolności i obrzydzonych nudną hegemonią „głównego nurtu” kręgach intelektualnych rodzi się zazwyczaj koncept obudzenia ludu. Po to, by znieść znowę elit, odmienić grzeszny, ale nazbyt

teatralny liberalny parlamentaryzm, wpuścić trzymaną dotąd na dystans publiczność na teatralną scenę, tak by rozsadziła obowiązujące tam dotąd sztywne, konwencjonalne reguły gry, której przecież nie sposób nawet nazwać prawdziwą polityką. Tej roboty dokończyć muszą jeszcze konieczni w takich razach demagodzy, którzy umieją słowem dźgać, trykać i bóść ospale z natury polityczne cielsko ludu, tak aby ono w końcu, najpierw leniwie i ospale, zechciało się poruszyć.

Z 90 lat XX wieku, kiedy parąłem się czynną polityką, zapamiętałem pewien powtarzający się szczegół, który irytował mnie wtedy i sprawiał ustawiczną trudność. Otóż niemal na każdym publicznym spotkaniu politycznym odzywał się czyjś głos, domagający się, i to zazwyczaj w oskarżycielskim tonie, wyjaśnienia pogłosek, jakoby posłowie, którzy namiętnie zwalczają się na mównicy sejmowej, po zakończeniu debaty szli wspólnie do restauracji sejmowej, aby przy piwie odpocząć i pogadać. Tłumaczyłem, że zazwyczaj sam właśnie tak czynię, gdyż uważam, iż w takim postępowaniu tkwi sens liberalnego parlamentaryzmu. Któregoś dnia przestałem tak tłumaczyć, gdy zrozumiałem, że w ten sposób tylko budzę przeciw samemu sobie wrogie ludowe instynkty. Wielką wadą, ale zarazem wielką zaletą ludu jest aprioryczne odrzucenie wszelkiej analogii pomiędzy tym co polityczne i teatralne. Lud wie, że Hamlet i Laertes po śmiertelnym pojedynku siadają za kulisami razem przy piwie, ażeby odpocząć i pogadać. A ponieważ uważa to za egzystencjalny fałsz, odrzuca polityków w roli aktorów. Lud, który wtargnął na polityczną scenę, zamienia grę, wraz z jej scenicznymi regułami, w nagie życie, a polityczność traktuje ze śmiertelną powagą. Dlatego od polityków instynktownie żąda prawdy, czyli w praktyce tego, aby stawką ich rozgrywki było ich biologiczne życie i śmierć.

Toutes proportions gardées, przywódca hiszpańskiej prawicy wpadł w tę samą pułapkę, którą ja sam zapamiętałem z moich dawnych spotkań z wyborcami. Próbuje powiedzieć ludowi, że polityczny wróg jest przecież tylko jednym z aktorów na hiszpańskiej scenie, który w pierwszym akcie odegrał nieźle swoją buntowniczą rolę, ale teraz jest znów potrzebny w obsadzie kolejnego aktu. Tyle tylko, że moje wspomnienie dotyczy epoki, w której lud był zaabsorbowany urządzaniem na nowo swojego życia codziennego, a aktorzy na publicznej scenie z przekonaniem dyktowali mu bezalternatywny, w gruncie rzeczy przedpolityczny kierunek. Więc polityczne cielsko ludu pozostawało jeszcze w stanie drzemki. Tymczasem Feijoo, jak i cała hiszpańska prawica, dźgała, trykała i bodła lud tak długo i tak zajadle przeciw Katalończykom, że w końcu udało się jej wyzwolić jego energię i wściekłość. Zbudziła owego „wstrętnego potwora o głowach tysiącu – chwiejne pospólstwo” (cyt. z prologu do „Henryka IV”), którego naturę tak dokładnie przebadał Szekspir, zwłaszcza na kartach swoich kronik. A teraz Feijoo chciałby powrócić do zмовy elit i do konceptu konwencjonalnego wroga – a więc do reguł liberalnego parlamentaryzmu. Myślę, że to mu się nie uda. O ile bowiem droga od teatralnej gry do egzystencjalnej polityczności nie jest aż tak trudna do przebycia, to zawrócenie na niej graniczy z politycznym niepodobieństwem.

Jan Rokita